ROZMAITOŚCI.

Dnia 16 października, N.ro 42. roku 1847.

LISTY KSIĘŻNÉJ PRASLIN.

(Dokończenie.)

O pannie Deluzy wspomina księżna po raz piérwszy pod d. 24 stycznia 1842. »Wydarłeś mi moje dzieci» — mówi ona do księcia — „aby je powierzyć osobie płochéj, którąś zaledwie poznał. Na nią zdałeś wypełnianie wszelkich moich obowiązków, wszelkich moich uciech, całéj mojéj powagi. Ona ma prawo rozrządzać mojémi najdroższémi skarbami, mojémi dziećmi; ona jest towarzyszką mojego męża, która sobie zjednała prawo wstępywania w każdéj porze, w każdym razie, do tego pokoju, do którego ja, twoja żona, matka twych dzieci, nie mam już prawa wchodzić, wtedy nawet, gdy jesteś chory.» Pod d. 23 kwietnia r. 1842 pisze księżna, iż panna Deluze miała zbyt śmiałą otwartość powiedzieć do niéj: »Żałuje, iż nie mogę żadnym sposobem służyć za pośredniczkę między panem de Praslin a księżną; wszakże w jéj własnym interesie radzę księżnéj pani obchodzić się ze mną z największą oględnością. Wystawiam sobie, jak to pani jest przykro, być rozłączoną ze swémi dziećmi; atoli sądząc po wyraźnie i nieodzownie wyrzeczoném postanowieniu księcia w téj mierze; należy wnosić, iż ma bardzo ważne powody do powzięcia takowego środka, a mnie pozostaje tylko surowa powinność stosowania się do tego.»

Jak księżna jeszcze z taką osobą przez pięć lat pod jednym dachem wytrzymać mogła — to da się wytłumaczyć tylko miłością matki, która dzieci swoich zupełnie opuścić nie chciała, i szlachetną dumą księżnéj, która wszelkiego publicznego zgorszenia uniknąć pragnęła Codziennie w ciągu tych pięciu lat wznawiało się męczeństwo téj kobiety, która upadając pod brzemieniem cierpień moralnych; jedynie w religii nieomylną zawsze podporę i pociechę znachodziła. Jéj dziennik uwiadamia nas o wielu krokach, jakie księżna na korzyść swoich dzieci u książęcia czyniła; atoli tylko to jedno do skutku przywiodła, że ciągle w bezpośredniéj styczności z dziećmi zostawać mogła, lubo i to na wielorakie nieprzyjemności i upokorzenia ze strony panny Deluze ją narażało. Dopiéro w lipcu r. b., za wdaniem się w to ojca księżnéj, marszałka Sebastiani, zostało oddalenie panny Deluze postanowione. O ówczesnym stanie rzeczy w rodzinie księstwa oświeca nas ustęp z dziennika, pisany d 13 lipca 1847. Są to ostatnie słowa księżnéj. W miesiąc późniéj miała ona pod ciosami swego nielitościwego męża swe piękne życie zakończyć. Przytaczamy tu ten ustęp w zupełności i w jaknajwierniejszém tłumaczeniu, ile że on najgłębiéj w duszę nieszczęśliwéj księżnéj wniknąć dozwala; lubo i to jeszcze nie rozwiązuje bynajmniéj téj nieszczęsnéj zagadki: w jaki sposób odwidziny księcia wieczorem z dwojgiem dzieci u panny Deluze, jakoteż żądane przez nią i przez mistrzynię zakładu wychowawczego, w którym panna Deluze nauk udzielała, pismo uwalniające ją ze strony księżnéj od obowiązku; następnéj nocy zamordowanie téjże spowodowały.

Nadto znajduje się w zbiorze listów księżnéj de Praslin list z dnia 19 czerwca 1847, do panny Deluze, ułożony w bardzo uprzejmych wyrazach, ofiarujący jéj polecenie do lady Tancarville, a przez tę do lady Hislop, jakoteż listy rekomendacyjne do hrabiny Flahault i miss Elphinstone.

Wspomniony powyżéj ustęp z dziennika opiéwa jak następuje:

»Dawno już nie pisałam, a przecież nic się dotąd nie zmieniło. Powiadają, że ona ma odejść, skoro wyjedziem do Praslin, ale tymczasem władza jéj codzień jak najsamowolniéj się objawia. Wszystko trzyma w swém ręku, ojca i dzieci; grę jéj dosyć pojmuję, jeżeli zrzekła się już wszelkiego wstydu, lecz nie mogę sobię wyjaśnić jego postępowania. Woła że go potwarzają, szkalują, lecz przyznaje że złe były pozory, a pozory te codzień czyni jawniejszémi, codzień większe otwiéra pole

gorszącym plotkom i tłumaczeniom. Twierdzi, że spotwarzono jego stosunki, a publicznie okazuje że o nią zerwał z moim ojcem; zrywa z nami a jéj nie opuszcza. Trudno znaleść charakter równie zagadkowy i niedocieczony; czy to zbytek zepsucia, czy też słabości tylko? Lecz słabość nie powinnaby doprowadzić aż do takiego zdeptania interesów jego dzieci. Tak więc obawia się téj kobiéty, że nie śmié, dopóki ona jest w domu, powrócić matce dzieci, okazywać należne względy żonie swojéj? Któż jéj taką moc nad nim nadał? to nienaturalne; musi ona miéć jakiś sposób imponowania mu groźbami. Biedny! rzeczywiście go żałuję; jakież on życie prowadzi, jaką przyszłość sobie gotuje! Kiedy daje się tak powodować i straszyć intrygantkom w czterdziestym drugim roku, cóż to będzie na starość?

Jakżem go jednak kochała! Zmienić się bardzo musiał przy tych wszystkich niegodziwych kobiétach; bo widząc jaki jest dzisiaj, nie mogę zdać sobie sprawy, co mnie natchnęło miłość tak namiętną. Inny to już człowiek: jak przygasł w nim umysł, ścieśniło się serce! jaki teraz stroskany, zmordowany, drażliwy? Nic go nie ożywia, nic nie interesuje, nic nie obchodzi; wszystkie uczucia szlachetne, namiętne, zapał, nie znajdują już oddźwięku w jego sercu ani umyśle. Znaczenie, majątek, wszystko posiadał co uczynić mogło życie jego użytecznem, świetnem, zaszczytnem, szczęśliwem. Wszystko teraz sparaliżowane, znieruchomione i nic go nie obchodzi, ani kraj, ani dzieci własne; z guwernantkami tylko przystaje, bawi się, nadskakuje im, ulega, dopóki niewolnikiem ich nie zostanie. Zdaje mi się, doprawdy, że już nie chodzi mu o zatrzymanie panny Deluze, którój już blizko od lat dwóch nie kocha, tylko obawia się żeby odszedłszy ztąd, zbytnie przykrością nie zatruła mu życia. Boże drogi! co to za życie! Lecz to najciekawsze, że niemylnie i stale przekonanym jest, iż z miłości i zazdrości o niego, pragnęłam odprawy panny Deluzy. Nie chce zrozumiéć, że jedyną teraz pobudką są i będą dla mnie tylko dzieci nasze. Mniema że obrażona miłość mną powoduje i to mu pochlebia; to nader dziwne? lecz nie wątpię, że gdyby miłość moję uważał za wygasnąć mogącą, z największą działałby względnością, postępowałby uczciwiéj. Co za złudzenie! co za wygórowana miłość własna! Możnaby może zachować miłość w głębi serca dla człowieka tak się obchodzącego z kobiétą jak on ze mną, jeżeli z drugiéj strony człowiek ten budzi uwielbienie, podnosi się w naszych oczach wielkiemi czynami, dziełem wielkiém; lecz człowiek zupełnie poziomy, pospolity, tylko wtedy kochanym bywa, kiedy jest dobry, sprawiedliwy, sumienny, jeżeli życie z nim łatwe i przyjemne. Nie koniecznie potrzeba dzieł i czynów wielkich, ale należy umiéć je czuć, wielbić, zajmować się niemi. Nie umiem wysłowić jak dalece ten duch obmowy, złośliwości i znudzenia się wszystkiém, ta niezdolność zajęcia się czémkolwiek, zniechęciła mnie do niego. Uważałam go całkiem inaczéj. Musiał być inny, bo nie mogłabym go kochać, gdyby zawsze takim był jak obecnie. Zaprawdę, dość miał zasobów w sercu i umyśle; ale brak stałych zasad, moralności, religii i lenistwo umysłu, dały przewagę materyjalnym popędom, i przy takim stanie chce wychować swoje córki! Jakże on samotny, opuszczony! nie ma ani jednego rzeczywistego przyjaciela; tylko związki do uciech i zabawy, które jak pęta ciężyć będą gdy słaby zerwać je zechce. To okropność! jak galernik kulę, wlecze on za sobą wymagania kobiet z któremi miał stosunki.

Jednakże jak dziwaczni są mężczyzni! zawsze mnie poświęcał, uciskał, ranił, poniżał, opuszczał dla kobiet których nie kochał. Ja tylko jednego kochałam i to z niesłychaną namiętnością, która mnie zadziwia teraz, a nie wiém, obecnie może w gruncie serca przenosi mnie nad te kobiéty, których nie kocha i obawia się, lecz ja zupełnie jestem co do niego odczarowaną. — Odtąd coraz gorzéj mi będzie; zbyt mocno uczuwa on wielkość przewinienia swego; zawzięty, nie zdoła pojąć że mogę przebaczyć i zapomnieć. Zasługa moja nie takby wielką była jak on mniema; zazdrosną wtedy tylko być mogę, gdy kocham, a zresztą przebaczać mi łatwo przychodzi; od czasu zaś jak zmieniły się moje uczucia, nie gniewam się bynajmniéj na niego, tylko chodzi mi o to żeby dzieciom nie szkodził. Bardzo dziwaczne i smutne nasze położenie: kiedy on biegał za rozkoszami, ja zupełnie pozbawioną ich byłam; znajdował uciechy, używał bez miłości; moja zaś miłość we łzach zagasła, a nie miałam...... Nareszcie, co w nim się zużyło, zachowało się może we mnie i odwrotnie......... Jakiż to koniec tego wszystkiego? Nie sądzę żebyśmy się kiedy zupełnie pogodzili, jak tego szczęście naszych dzieci wymaga. Zawsze odemnie uciekać będzie, bo czuje że zawinił, a ja szukać go nie będę, chyba obowiązek względem dzieci skłoni mnie do tego. Uczucie wstydu wzbraniać mi zawsze będzie zbliżenia się do mężczyzny, nawet męża mojego, kiedy wątpię o mojéj dla niego miłości i kiedy czuję że inne myśli, tyle lat tłumione, prędzéjby mnie niżeli serce w jego objęcia rzuciły.

Boże! ty sam wiész tylko ile przecierpiałam, ile niedostatków serca i innych przeniosłam; żem nie uległa pokuszeniom, za to chwała tobie, o Panie! boś ty jedyną podporą moją, siłą: o, nie opuszczaj mnie i teraz, bez Ciebie bowiem upadnę. — Boże! Panie mój! ty mnie wspieraj i prowadź: lękam się przyszłości, gróźb jakie mi uczynił, trudności z każdym dniem li-

czniejszych: ale będziesz czuwał nademną, o Boże! w tobie całą ufność pokłada biédna matka, za dzieci swe walcząca. Panie wszechmocny! nie puszczaj mnie z twéj opieki!

Mus. Konieczność. Potrzeba.

Trójka spólno-rodna.

Gdy się słowo rodzi, musi robić głowa.
Co czytasz Hamlecie? Słowa— słowa— słowa.

W ów czas, gdy ziemię jęło rodzić niebo,
Już się rodziła konieczność z Potrzebą,
I sam już Jowisz musiał bydź w potrzebie,
Kiedy tęn arbuz rodził myślą w niebie.
Zanim w to dzieło usiadł na trójnogu,
Trzech końców w trójnóg było trzeba bogu.
Jakoż już naprzód trzebą w myśli wiedział,
Że przez trzy końce będzie sześcią siedział.
Wraz i tę trzebę miał już przed oczyma,
Że bez trzech środków sześciu końców niéma,
Że potąd w trzebę świder się nie wkręci,
Aż pokąd w jednéj nié ma trzeb dziewięci,
I aż te wszystkie téj siły nie mają,
Jaką ma pisklę, gdy roztrzebia jajo.

Bandy Karlistów w Sierra Morena.

Następny szkic wyjęty jest z dziennika pewnego Hiszpana, syna jednego z najwyższych urzędników królestwa, przypadkiem w niewolą karlistów popadłego Szkic ten zasługuje na tém większą uwagę, iż właśnie w ostatnich czasach bandy karlistowskie mimo wszelkich usiłowań rządu w tak znaczną wzrosły potęgę, że ztąd łatwo dla całego kraju bardzo ważne nastepstwa wyniknąć mogą. Nazwisko Don Jozé Maria Fernandez, pod którém jeniec karlistów przygody swe opisuje, przybrał on w czasie niewoli, aby się jako znany stronnik rządu nie zdradził.

Dnia 22 października r. z. wyjechał Don Jozé z Madrytu, w celu udania się do Alicante, opatrzony paszportem jenerała Narvaez, jako też mnogiémi listami polecającémi do wszystkich dowódzców twierdz po drodze z Madrytu do Walencyi. Zresztą miała cała ta okolica według doniesień jenerała być tak spokojną, iż nie było najmniejszego powodu do powzięcia środków ostrożności. Toż samo twierdził najwyższy sędzia i naczelnik gwardyi narodowéj w Ocana, dokąd Don Jozé wieczorem bez najmniejszéj przygody przybył. Dla wszelkiego zaś bezpieczeństwa dodano eskortę dyliżansowi, przezco najmniejszéj obawy nie pozostało. Gdy podróżni nazajutrz rano o wschodzie słońca z pocztą z Walencyi się zjechali, zapytano się jak zwykle o nowiny, i wymieniano wzajem eskortę. Nowy oddział wojska, składający się z 26 żołnierzy, towarzyszył dyliżansowi do najbliższego noclegu, i daléj go jeszcze odprowadzał. Wreszcie jednak zażądali żołnierze wrocić, będac bardzo znużonymi. Z wielką trudnością nakłonił ich oficer dowodzący do dalszéj jazdy. Nagle, o czwartéj godzinie zrana, zatrzymał się powóz pocztowy, przezco podróżni gwałtownie ze snu się przebudzili. Oficer zbliżył się do drzwiczek powozu, i zawołał:

„Panie margrabio! panie margrabio!»

Don Jozé, który swego przybranego nazwiska zdradzić nie chciał, szybko z powozu wyjrzał, aby niewczesnego krzykacza przestrzedz, gdy ten do niego się ozwał:

„Nadeszła właśnie wiadomość, iż tamtędy ugorem w dole kilkunastu jeźdźców przed chwilą pognało.»

Natychmiast wyściubiło się kilka głów rozmaitémi otworami powozu, pytając trwożnie:

„Co takiego?" — „Co się stało?"

„Sądzę, iż należy coprędzéj wrócić" — rzekł Don Jozé do oficera. „Ale zresztą spytaj się pan resztę towarzyszów o zdanie."

„O, nic to; nie potrzeba się wracać. Pojedziemy śmiało naprzód" — odpowiedział oficer. »Czyż pan mniemasz, że mój oddział nie dałby rady tym włóczęgom. Przytém powinność moja nie dozwala mi wracać.»

Rezultatem téj konferencyi, rozpoczętéj przez oficera zapytaniem Don Joze'go o zdanie, było, iż oficer za swojém własném zdaniem poszedł. Don Jozé oparł się więc wygodnie w rogu powozu, aby niepotrzebnie przerwany sen, przedłużyć. Gdy mu to nad spodziéw pomyślnie się powiodło, nowe zatrzymanie powozu powtórnie go obudziło. Ale tym razem zdało się to nieco ważniejszy mieć powod. Rozlegał się bowiem gwar wielu zmieszanych głosów ze wszystkiémi rodzajami przekleństw i wykrzyków. Trzy wozy, na których eskorta jechała, ujrzał Jozé przy brzasku białego dnia kilką jeźdźcami otoczone. Nie mogąc jednak od razu właściwego związku rzeczy pojąć; rzucił margrabia wokoło zdziwionym wzrokiem, aby rozeznać miejsce, gdzie się podróżni znajdywali. Po prawéj stronie gościńca stała karczma, któréj Cervantesowska nazwa *venta de Toboso* wzbudziła w nim romantyczną nadzieję, że wnet jakaś rozjemcza Dulcynea na progu się okaże, i spór uśmierzy. Wszelako miast niéj nadleciało jeszcze więcéj zbrojnych jeźdźców, którzy okrążając wozy, krzyczeli na żołnierzy, aby się niezwłocznie poddali, gdyż w takim razie ani włos im z głowy nie spadnie.

Atoli jeden z żołnierzy dał ognia. Jeźdźcy odpowiedzieli mu, i dopiéroż wzmogła się wrzawa nad

wszelki opis. Dla powiększenia zgiełku jęli podróżni wołać, aby eskorta broń złożyła, a kobiety mdlały, lub przeraźliwemi okrzyki powszechnemu hałasowi wtórzyły. Nareszcie dał oficer żołnierzom rozkaz poddać się. Żołnierze usłuchali, na co partyzanci wręczoną sobie broń o kamienie przy drodze, lub około wozów, do jednej pogruchotali. Tymczasem podróżni uciszyli się w powozie, do którego jeszcze żaden z partyzantów się nie zbliżał. Gdy jednak eskorta poddała się, zawołał jeden z dowódzców: »Miejcie baczność na zdobycz! Pod tém rozumiał on podróżnych i ich pakunki. Otoczono więc dyliżans. Rozkazano podróżnym wysiąść, i zaczęto muły od powozu wyprzęgać. Rozbrojona eskorta musiała na rozkaz naczelnika karlistów w jeden rząd się ustawić.

»*Muchachos* (Dziatki)!« ozwał się jeden ze zwycięzców po ojcowsku napominając: „pamiętajcie, że jeżli się który z was ruszy, będziem musieli natychmiast *cuadro tiros* (cztery strzały) mu wlepić.”

Podróżni zwrócili się ku innemu partyzantowi, który im się najmniéj groźnym wydawał, spodziewając się zmiękczyć go Lecz odpowiedź była zawsze taż sama. Zagadniony okazał się chyba o tyle łagodniejszym od innych, iż zamiast krzyknąć na nich dziko: »Oddajcie pieniądze, łotry!« — jakto koledzy jego czynili — pocieszał podróżnych dowcipną przymówką: »Uspokójcie się, moje dzieci! Wszak my nie chcemy was uciemiężać, lecz chcemy owszem ulżyć wam niektórych zbytnich ciężarów.”

Wszędzie panowało największe zamieszanie. Było wszystkich partyzantów dwudziestu dwóch; każdy miał należyty rynsztunek i dobrego konia pod sobą. Aby tém swobodniej złupić podróżnych, rozstawiono po wszystkich stronach poczty, co zresztą wcale zbytecznem było Don Jozé przystąpił do głównego dowódzcy, którego wejrzenie nie było nazbyt odstraszającém, i rozpoczął z nim rozmowę.

„Wszystko co mam” — rzekł poważnie — „jest na pańskie usługi. Czyż mi jednak wolno ozwać się za to z prośbą, abyś mnie pan swoim podwładnym krzywdzić nie dał?”

Główny dowódzca karlistów byłto mężczyzna około 28—30 lat mający, szczupły, średniego wzrostu, smagławéj cery. Brunatna płeć i ciemne włosy nadawały jego twarzy męzkiego wyrazu, który wraz z wojskową postawą, jaką od swoich towarzyszy się odznaczał, miał w sobie coś istotnie imponującego. Odpowiedź jego była w tym samym tonie, jak zapytanie:

„Pańska grzeczność, senor do głębi duszy mię wzrusza. Lękając się obrazić pana, gdybym tak uprzejmie uczynioną mi ofiarę odrzucił; przyjmuję wszystko, coś pan dla mnie przeznaczyć raczył, i upewniam go, iż mu się najmniejsza przykrość nie stanie.”

Tymczasem porozrzucano pakunki na ziemię, poczém zabrano się do przetrząśnienia wnętrza powozu Sierzant Nawarro, protektor Don Jozégo, zażądał paszportów od podróżnych »Nie, jakobyśmy się na ich nieomylność nie spuszczali” — dodał. — „Lecz niedawno mieliśmy do czynienia z człowiekiem, który się udawał za blacharza, a był rzeczywiście deputowanym, jakeśmy się później o tém dowiedzieli.”

Don Jozé, nie odstępujący na krok sierzanta, wręczył mu swój paszport. Sierzant prosił jeszcze o pulares, który dokładnie przejrzał. Na szczęście zniszczył był Jozé dość wcześnie listy jenerła Narwaeza. Rozwinąwszy paszport, zagadnął sierzant:

„Pan jesteś margrabią?”

Don Jozé struchlał. Paszport jego był na fałszywe nazwisko wydanym Jakże mógł Navarro wpaść na ten domysł? Wszelako naglące niebezpieczeństwo wróciło margrabiemu szybko przytomność umysłu, i odpowiedział zdziwiony:

»Ja margrabią? Żartujesz senor. Patrz pan, oto moje nazwisko: Jozé Maria Fernandez »

Dopiero teraz wykryła się pomyłka sierzanta. Wziął on nazwisko margrabi de Pontejos, który jako cywilny gubernator Madrytu na paszporcie był podpisanym, za nazwisko samegoż podróżnikaPo. - strzegłszy błąd swój, uspokoił się.

„Teraz bądźcie państwo łaskawi wyjąć sakiewki!” Co się też stało

„A! pan zdajesz się być najbogatszym z całego towarzystwa — ozwał się sierzant z uśmiéchem do Don Jozégo, który mu około 1000 realów (przeszło 600 zł. pl.) oddał Resztę jego pieniędzy znaleziono pod poduszką w powozie; lecz właściciel był dość ostrożnym aby się nie przyznać do nich.

»Gdzież pański zégarek?” — spytał Navarro.

»Oto jest. Ale ponieważ nie ma wielkiéj wartości, przeto prosiłbym o pozostawienie mi go. Gdyby to był złoty cylinder, miałbym sobie za szczęście, złożyć go panu w darze.”

„To też tylko jako pamiątkę po panu, chciałbym go zatrzymać” — przejął sierzant.

„Wszelako zależy mi wiele na tym zégarku; nosiła go bowiem jeszcze moja nieboszczka matka, a łańcuszek przy nim jest roboty méj żony.”

„Doprawdy? A, to miła w samé rzeczy pamiątka” — rzekł sierzant rzewnym tonem. „Jednakoż bądź pan łaskaw oddać mi go na wszelki wypadek. Moi towarzysze wzięliby go panu bez ogródki, podczas gdy u mnie będzie on schowany z całą troskliwością, jaka tak drogiéj pamiątce rodzinnéj przynależy.”

W tenże sam sposób wziął sierzant także do schowania pierścionek, który Don Jozé miał po

matce. Samą tylko obrączkę ślubną, którą sobie Navarro podobnież na pamiątkę chciał schować, musiał wreszcie zostawić margrabiemu, odwiedziony od swego zamiaru najusilniejszémi protestacyjami właściciela i małą wartością przedmiotu. Wszakże wiadomość, że Don Jozé od niedawnego dopiéro czasu jest żonatym, przyjął sierzant z najserdeczniejszém spółczuciem.

»Możesz pan sobie wystawić» — dodał Don Jozé — »jakieby to zmartwienie dla mojéj żony i rodziny było, gdyby się dowiedziano, żem ja pokrzywdzonym został.»

„Zapewne! Zapewne!» odpowiedział Navarro z udziałem. »Jakoż nigdybym sobie nie przebaczył, gdybym w czémkolwiek do zasmucenia czcigodnych rodziców pańskich, jako też jego tkliwéj i miłéj małżonki się przyczynił.— Siądź pan na tego gniadosza» — dodał. „Gdyż będziesz pan łaskaw udać się z nami w góry »

»Jak widzę, na coraz gorsze się zanosi!» — pomyślał Don Jozé w duchu. Żadne prośby ani przedstawienia nic nie pomogły. Uchwalono zabrać wszystkich podróżnych, prócz kobiet, w góry Morena. Teraz nastąpiły smutne, bolesne sceny Pomiędzy podróżnikami był pewien stary jenerał, którego żona rzuciła się do nóg dowódzcy karlistowskiemu, aby mężowi wolność wybłagać. Atoli wszelkie jéj łzy, zaklęcia, wykrzykniki nie rozczuliły tych zatwardziałych ludzi. Biedna dama, widząc że wszystko na próżno, zemdlała Bez najmniejszego względu na to kazano jenerałowi siąść na koń, lecz ten nie mógł się oderwać od swoich dzieci, dwóch prześlicznych, sześcio-do ośmioletnich chłopaczków, które głośno szlochając, kolan się jego chwyciły. Córka jego, piękna dwudziesto-letnia dziewczyna napiérała się koniecznie towarzyszyć ojcu w góry; i już z tyłu za nim na konia wsiadła. Don Jozé, jako też reszta podróżnych, byli już oddawna do wyruszenia gotowi; tylko śmiała, uporczywa dziewczyna, wszystkich zatrzymywała. Podczas gdy partyzanci radzili pomiędzy sobą, czy ją wziąć, czy zostawić, Don Jozé, wzruszony litością dla biednej dziewczyny, ozwał się do sierzanta:

„Trzeba ją koniecznie zostawić; będzie nam tylko zawadzać w drodze. Z kobietami zawsze kłopot!»

Oczywiście nie mogła biédaczka w niczém ojcu dopomódz, a sama na najsroższe niebezpieczeństwa się narażała. Kilka rubasznych żartów z ust pobliższych karlistów oznajmiło margrabiemu, co ją czeka, gdyby ją z sobą wzięto. Z wielkiém tedy zadowoleniem postrzegł Don Jozé, że Navarro kazał ją zsadzić z konia.

Wreszcie ruszyła cała karawana w drogę. Na przód jechało sześciu karlistów, za nimi jeńcy: jenerał, drugi podróżnik, oficer eskorty, Don Jozé ze swoim służącym, wreszcie poganiacz mułów. W odwodzie kilku karlistów, a pomiędzy nimi, rozbrojona eskorta i wóz obładowany »zdobyczą.»

Obok Don Jozégo jechał jeden z *cabecillos* (niższych dowodzców) bandy. Malowniczy strój jego nie służył bynajmniéj do upiększenia jego ogorzałéj i bliznami pokiereszowanéj twarzy, ani też gorąco czerwony kolor włosów, który mu imiono *el Rojo* (Rudas) zjednał. Miał on na sobie długą, pstrokatą, srebrem wyszywaną kamizelę i szpiczasty kapelusz, którego przednia krésa nadzwyczajnie daleko ponad zmarszczonéem ciągle obliczem stérczała. Wszelako i w tym razie pozór łudził. Rudy *cabecilla*, mimo swego srogiego marsu, dał Don Jozému wnet dowód niepospolitéj delikatności. Odpiął bowiem od siodła butelkę, starannie futrem obszytą, i podał ją swojemu sąsiadowi, mówiąc:

»Sprobuj pan »

Don Jozé miał dobry węch. Poczuł natychmiast wyborny *Xeres* w butelce, i napił się bez obawy; poczém oddał nazad butelkę.

»Czy pan palisz?» zapytał daléj rudas, w nowy dowód swego przyjacielskiego usposobienia, które potężnym łykiem z butelki jeszcze bardziéj rozbudził.

„Dziwne pytanie. Czyż nie jestem Hiszpanem, równie jak senor?»

Cabecilla dobył hawańskich sygarów z kieszeni, i nadstawił je Don Jozému, mrucząc z gniewem:

»Zgubiłem krzesiwo.»

Don Jozé miał ogień i korzystał z téj sposobności okazać grzeczność swemu uprzejmemu i bezinteresownemu towarzyszowi. Jakoż zapaliwszy sygaro, jechali dość długo w milczeniu obok siebie, aż wreszcie *cabecilla* się ozwał:

»Spodziewam się, iż pan masz zamiar zrobić mi prezent?»

«Odkąd mam szczęście znać pana, jestto mojem najgoretszém życzeniem.»

»Dziękuję panu. A gdyby to np był jaki konik?»

„Będziesz go pan miał niezawodnie»

„A ładny?"

„Prawdziwy *Babinka*!»

»I wytrzymały?»

„Jak skała!»

„Napiszesz pan o niego do rodziców?»

»Jeszcze dziś w wieczór.»

„I przyszlą go?»

„Gdyby się na głowę postawić mieli»

Uradowany tém przyrzeczeniem, któremu tak zaufał, jak rycerz słowu honoru swego spółtowarzysza broni, zaczął *cabecilla* ogromne kłęby dymu w powietrze wypuszczać. Atoli po niejakim czasie ocknął się z tego miłego spokoju duszy, i zawołał na jednego z karlistów w tyle:

„Ramirez!”

„Na rozkaz!”

»Teraz możesz się uprzątnąć z oficerem »

Wymieniony jechał tuż za ma grabią. Ramirez zbliżył się wprost do niego i rzekł:

»Zsiądź pan.»

Oficer zsiadł bez najmniejszej podejrzliwości z muła, pytając:

»Czego pan sobie życzysz ode mnie?»

»Zaraz pan dowiesz się o tém» — odpowiedział Ramirez uprzejmie, nabijając karabin. Don Jozé struchlał ze strachu, i nie będąc w stanie ocalić nieszczęśliwego, byłby się chętnie oddalił, aby nie być świadkiem okropnéj sceny, gdyby nie jakaś niepowściągniona siła, która spojrzenia jego koniecznie w tył zwracała. Tak więc widział, jak Ramirez do oficera się złożył i wystrzelił. Ugodzony padł, lecz natychmiast znowu się podniósł, jak śmierć blady. Prawe ramię bezwładnie w dół mu zwisło. Zawołał: „Łaski! Łaski!”

„Cóż daléj robić?” — zapytał Ramirez przełożonego.

»Kończ!”

Don Jozé wypuścił konia cwałem, aby nie widzieć tego końca. Rozległ się strzał wtóry i trzeci. Po chwili nadjechał Ramirez z pantalonami zabitego. W dziesięć minut później usłyszał Don Jozé nowe strzały, lecz w daleko znaczniejszéj liczbie. Były one wymierzone przeciw żołnierzom eskorty, których do nogi wystrzelano. Żartując wesoło wracali karliści po dokonanéj rzezi, i o pojedyńczych jéj szczegółach baraszkowali.

»O, senor!” — ozwał się Ramirez do rudego *cabecilla* — »co też to za obłudne szelmy te żołnierze! Któżby sobie tak wygórowane zepsucie mógł wyobrazić!”

»I cóż?” zapytał *cabecilla*, skrzywiwszy się, co zapewne uprzejmy uśmiéch oznaczać miało.

»Obaczyłem jednego z nich od stóp do głowy we krwi zbroczonego i tak niby już otrętwiałego, że mię to jakoś zdziwiło. Bo wiesz senor, żem nie fryc. Więc przypatruję mu się bliżéj, a ten łotr ani jednego zadraśnięcia na sobie nié ma. Widać, osmarował się tylko krwią jednego ze swoich towarzyszy, aby nas okropnym widokiem zdurzyć. Pojmujesz senor, że to nadużycie naszego zaufania sprawiedliwie mię oburzyło. Ztémwszystkiém nie byłem jeszcze pewnym swego. Może — pomyślałem sobie — zemdlał biedak. A nie należy nigdy bez dostatecznego dowodu skarzyć fałszywie przeciw bliźniemu. Byłoto uczciwie z mojéj strony pomyślano, nie prawdaż, senor? Więc przystąpiłem z wszelką ostrożnością do rzeczy; to jest: chcąc się nieomylnie przekonać, wepchnąłem mu bagnet na kilka cali w brzuch. No, *caramba!* Nie pomogło mu wtedy krzyczéć *Viva Carlos V!* A łotrze! psie! nikczemny kłamco! odkrzyknąłem mu wzajem. Nauczę ja cię oszukiwać uczciwych ludzi, i panu Bogu udaną śmiercią bluźnić! A zarzucając mu tak niegodziwość jego postępku, postarałem się zarazem, aby w krótkim czasie swoję fałszywie przybraną rolę na prawdę odegrał. Przyczém uczyniłem jeszcze jednę uwagę, którą radbym senor, pod twoje zdanie poddał. Przyznaj sam senor, czyby ze mnie wyborny nie był bakałarz, gdy w tak wysokim stopniu posiadam zręczność zapobiegania mojémi radami i karami, aby winny nigdy więcéj w swój dawny błąd nie popadł?»

Gdy cała drużyna późnym wieczorem na zwykłe swe leże nocne do nędznéj, samotnéj, pod górami leżącéj karczmy zdążyła, było pierwszém zatrudnieniem karlistów — obdzielić się zdobyczą. W tym celu porozkrawywano niektóre sztuki materyi, jako to: niebieskiego sukna i cienkiego płótna na łokcie, i równo się niémi podzielono. Następnie wezwał dowódzca wszystkich aby wydali pomniejsze artykuły zdobyczy i razem w pewném miejscu wszystko złożyli. Navarro i drugi *cabecilla*, imieniem Zaragoza, rozpodzielili całą kupę w równe części. Potem zrobiono tyleż losów, ilu karlistów było. Don Jozé widział z ubolewaniem jak jego wytworne fraki i haftowane kamizelki, które niedawno wprost z Paryża sprowadził; przechodziły teraz na własność w ręce obszarpanych rabusiów. Elegancki jego szlafrok z karmazynowego kaszemiru dostał się w udziele rudemu *cabecilla*, który go natychmiast wdział na siebie, śród powszechnéj radości i dowcipnych postrzeżeń nad zgodnością koloru jego włosów i nowozyskanéj szaty, będącéj w ich mniemaniu suknią kobiecą. Tymczasem losowanie daléj trwało. Między innémi losowanémi przedmiotami znajdywały się też niektóre drobnostki, należące niegdyś do toalety podróżnéj Don Jozégo, których przydatności jednak nikt wytłumaczyć sobie nie mógł. I tak jeden z karlistów, imieniem Sanchez, przypatrywał się już oddawna, pewnemu narzędziu osobliwszego, i jak mu się zdało, tajemniczego kształtu, odebranemu niańce jadącéj z resztą towarzystwa w wozie pocztowym. Sanchez udał się do jednego kamrata, który podobnież nad znaczeniem przypadłéj mu losem drobnostki w badaniach był zatopionym, i zaczęli więc razem badać. Nareszcie zniecierpliwił się kamrat, wołając:

„Tego sam djabeł nie dojdzie, co to znaczy!„

»Najlepiéj» — ozwie sie Sanchez — „pójdźmy do Rudasa. To uczony, umié czytać na książce.»

I tak też uczynili. *Cabecilla* przystąpił do nich w swoim karmazynowym szlafroku, który przybranéj przy tak ważnéj okoliczności powadze, tém

większego zdawał się użyczać uświęcenia. Wziął obadwa wątpliwe przedmioty do rąk, i głęboko nad niémi się zastanawiał. Wkońcu doszedł, jak się zdało, do niezbitego rezultatu swéj kontemplacyi. Zwrócił się bowiem do bezprawnych posiadaczy tajemniczych narzędzi, i rzekł do jednego:

»Schowaj to, jak najkosztowniejszy klejnot. Stanie ci to za skarby całego świata. Jestto bowiem *clave-maestra* (wytrych), przydatny do wszystkich drzwi i kufrów. Jeźli będziesz miał z głębokim zamkiem do czynienia, tedy wetknij ten instrument na całą długość; w przeciwnym razie trzeba go nieco skrócić.«

Poczém zwrócił się do Sancheza, i przemówił z uroczystą powagą, która nie omieszkała uczynić należytego wrażenia na słuchaczach: »Co zaś do ciebie — tyś prawdziwie szczęśliwy! Możesz odtąd puścić wodze twojéj ambicyi, i nawet do stopnia dowódzcy dążyć. Już bowiem masz w swoim ręku, co tylko wodzowi przynależy: ten instrument jestto wydoskonalony dalowid.«

Śród powszechnego zdumienia towarzyszy, którzy swojéj zazdrości względem obudwóch szczęśliwców nie ukrywali; oddał im rudy *cabecilla* nazad ich dorywczą własność. Atoli ów wytrychem uznany instrument, byłto rzeczywiście tylko pojedyńczy kruczek do butów; drugiego zaś nie chcemy dla przyzwoitości dokładniéj znamionować, jak tylko wskazując na ważną rolę, jaką ten instrument gra w niektórych komedyjach Moliera. Zresztą aby całą scenę podziału ze wszystkiémi uhocznémi szczegółami należycie opisać, na to potrzeba pióra autora Idziego Blasa.

(Dokończenie nastąpi.)

Piękna dwójka.

Talent z charakterem,
Rozum z sercem szczérem.
Charakter z talentem,
Wiara z słowem świętem.
Charakter bez talentu,
Rozum bez argumentu.
Talent bez charakteru,
Cyfra bez numeru. *)
A zatém, przeto, ku temu,
Jedno potrzebne drugiemu,
Jedno przy drugiém popłaca,
Pięknie się rymem przewraca.

*) Zero.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* (Własność i nakład Piotra Pillera) wyszedł nr. 41szy i zawiéra: 1) Brosza odśrodkowa młocarnia w Pradze czeskiéj. 2) O nawodnianiu łąk. (Ciąg dalszy). 3) O kontroli w gospodarstwie. 4) Rzecz o lasach dla właścicieli lasów i urzędników ich. (Ciąg dalszy). 5) Wiadomości handlowe i przemysłowe. Warstaty tkackie, Józefa Deutnera i Daniela Maxa we Lwowie.

Témi dniami wyszło tu nakładem J. Dobrzańskiego *»Piérwsze przedstawienie Hamleta*, poemat dramatyczny, przez T. L.« w 8ce, str. 71. — Jestto drugie z kolei wydanie Jana Dobrzańskiego, wydawcy znanéj powieści »Salon i ulica«, odznaczające się bezprzykładną taniością. Jak bowiem wspomniona tu powieść, zawierająca 10 arkuszy druku, kosztowała 20 gr. śr., tak też ogłoszone teraz »Piérwsze przedstawienie Hamleta« o 5 arkuszach druku, kosztuje tylko 10 gr. śr. czyli 20 groszy polsk. — podczas gdy inne książki polskie téjże saméj objętości kosztują zwykle 5 a nieraz i 10—12 razy tyle. Ta stosunkowo zbyt wysoka cena, podwyższona zbyt mało jeszcze w publiczności rozbudzoną chęcią czytania, odstręczała od kupna książek, a zbyt mały odbyt książek odstręczał księgarzy od wydawania onych. W ten sposób dwie przeciwległe zawady zwarły się nawzajem, i stanęły nieprzebytym klinem w drodze postępu umysłowego. Do rozbicia tego klinu potrzeba było nowego pomysłu tanich druków, a J. Dobrzański zaczyna piérwszy wprowadzać ten pomysł w życie. Jak zaś każdy prawdziwie praktyczny pomysł nie tylko chwilowym wymaganiom zadość czyni, ale owszem niespodziéwane na przyszłość korzyści rodzi; tak też i przedsiębiorstwo Dobrzańskiego, byle z energiją i znawstwem prowadzone, może nieocenione dla całéj polskiéj publiczności owoce wydać.

Rozdanie nagród. Niedawno odbyło się w *»academie française«* coroczne posiedzenie publiczne, na które niezwyczajnie liczna publiczność się zgromadziła. Wszystkie (5) oddziały akademii weszły w uroczystym pochodzie pod przewodnictwem pana Tocqueville. Pan Villemain odczytał treściwe sprawozdanie o przyznanych nagrodach literackich. Nagrodę za prace historyczne otrzymał p. Thierry, za swoje »Uwagi nad historyją Francyi.« Z nagród za pisma moralne i popularne, przyznano 3000 franków panu Couchy za dziełko »O pojedynku«, a równie tyleż panu Cormenin za jego »Powiastki wiejskie.« — Pomniejsze nagrody o 2000 franków otrzymali pp. Ozeanaux i Brizeux. Tudzież romans Julijusza Sandeau »Madeleine« i »Powiastki dla dzieci« przez panią Comte zostały medalami nagrodzone. Nagrodę za dobre tłumaczenie rozdzielono pomiędzy panów Moreau, Hersart de la Villemarque, Jules Lacroix za tłumaczenie Juwenala, i p. Louandre za tłumaczenie Tacyta. W wydziale poezyi ogłoszone były dwa zadania do nagrody. Ponieważ na piérwsze, pod tytułem »Algeryja czyli zdobycz cywilizacyi« tylko jeden nadesłano poemat, który wprawdzie wyszczególnienia lecz nie nagrody godnym się być okazał, przeto przedłużono konkurs do roku następnego. Drugie zadanie »O parze« rozwiązał najlepiéj Amedée Pommier, znany już ze swoich poprzednich zbiorów poezyj pod napisami *»Le livre du sang«* i *»Les colères«*, w których nieco wprawdzie dziki lecz szczéry, oryginalny talent przebija. Obecny poemat jego »O parze«, uwieńczony nagrodą, odczytał pan Ancelot śród powszechnych oklasków. Inny poemat, dotyczący tegoż samego przedmiotu, nadesłany przez p. Lesguillon uznano godnym zaszczytnego wspomnienia. Po rozdaniu nagród literackich, odczytał p. Tocqueville sprawozdanie o »nagrodach cnoty.« Piérwsza nagroda 5000 franków dostała się pewnéj wdowie, służącéj, która w czasie rozruchów w Buzançais pani swéj życie ocaliła. Trzy inne osoby otrzymały pomniejsze nagrody o 2000 fr. Wreszcie rozdano jeszcze pięć medalów w nagrodę szlachetnych uczynków.

Postępy chemii. Znana jest powszechnie zręczność, z jaką chemicy wszelkie ciała analizować i rozkładać umieją. Wszakże analizować znaczyło niszczyć, a jeźli zasługą jest: oznaczyc dokładnie składowe części dyjamentu, rubinu i smaragdu; tedy jeszcze większą być musi: umieć te kosztowne kamienie w całéj ich twardości, przezroczystości i jaśni, z chemicznego rozkładu do dawnego stanu przywracać. Pan Ebelmen, drugi dyrektor sławnéj fabryki porcelany w Sèvres uskutecznił to w części, wynalazłszy sposób tworzenia sztucznie niektórych drogich kamieni, jak mianowicie spinelu i chryzoberylu, zwanego powszechnie topazem oryjentalnym. Rozkłada on te kamienie w kwasie boraksowym, a potém rozgrzéwa ten rozczyn tak mocno, iż kwas boraksowy się ulotnia a minerały znowu się krystalizują.

Rozeznanie charakteru ze śmiéchu. Jakże dobitnie wyraża się nieraz charakter człowieka w śmiechu! Nie możemy nawet utrzymywać, iż znamy kogoś, dopókiśmy nie słyszeli, jak on się śmieje, dopóki nie wiémy, kiedy on zwykle się śmieje. Bywają okoliczności i usposobienia, w których dobrze nam znany człowiek wstrętnym i okropnym się wydaje, wybuchając nagle śmiechem, który z głębi serca pochodzi, a któregośmy potąd nigdy z ust jego nie słyszeli. Nawet u pięknych kobiét, które się nam przez długi czas podobały; często się to wydarza. Podobnie jak w niejedném sercu luby anioł tajnie ukryty drzémie, aż jakaś szczęśliwa chwila go zbudzi; tak też w głębi niejednego miłego, wdzięcznego charakteru, spoczywa poziomy duch gburostwa, który znienacka wyskakuje, gdy coś rubasznie śmiésznego w jego ciemny zakąt przeniknie.

Machina gadająca. Powszechną uwagę publiczności niemieckiéj zwraca teraz machina gadająca profesora Fabera z Wiédnia, wystawiona na widok w Lipsku. Jestto arcydzieło w swoim rodzaju, jakiego jeszcze dotychczas nie widziano. *) Machina przedstawia Turka, zaopatrzona jest wewnątrz wszystkiémi narzędziami mówniczémi, z wszelką anatomiczną dokładnością z kauczuku wyrobionémi; przyrządzony z boku miech udziela jéj tchu, a dość sztuczna gra na małéj klawiaturze, wprawia automat w najwyraźniejsze mówienie. Nie tylko iż we wszystkich językach głośno gada albo szepce; nie tylko że oddech jego poczuć możemy, lecz co więcéj, automat nasz śpiéwa nawet przy towarzyszeniu organów, a próba w téj mierze powiodła się tak wybornie, że pewien obecny dyrektor teatru, chciał go natychmiast na drugiego tenora angażować.

Odwaga i tchórzostwo. Przy zdobyciu pewnéj twierdzy w Indyjach wschodnich wzbudził był angielski porucznik W. powszechne uwielbienie wojska. Przedarł się pierwszy na wyłom, i zatknął sztandar królewski na wałach twierdzy. Jakoż oddano mu należną pochwałę w rozkazie dziennym, i polecono go do rychłego awansu. Niemałe więc było zadziwienie dowódzcy, gdy porucznik W. nazajutrz przyszedł do niego z prośbą, aby mu pozwolono wrócić do Irlandyi, a stopień swój odstąpić młodszemu bratu. Dowódzca nie pojmował, jak oficerowi, któremu tak świetne otworzyły się widoki, podobna prośba na myśl przyjść mogła, i spytał o przyczynę tego osobliwszego postanowienia. Młody porucznik odpowiedział otwarcie: »Gdy wojska naprzeciw siebie wyruszyły, a nieprzyjaciel ogień rozpoczął, ogarnęła mię tak niepokonana trwoga, że tylko szybkość bojowego kroku i wrzawa wojska, były przeszkodą, iżnie umknąłem i wieczną nie okryłem się hańbą. Potém zaś zapaliła mi się głowa do tego stopnia, że nie wiedziałem gdzie jestem, co czynię, a wreszcie bez najmniejszéj świadomości tego, co zaszło, ujrzałem się z sztandarem w ręku na wierzchu wyłomu.« — Po chwili dodał skromnie, iż nie czuje powołania do rzemiosła wojennego, a lękając się, aby kiedyś nie zdarzyła mu się sposobność do poddania się wrodzonemu tchórzostwu, pragnie wystąpić ze służby, dopóki to jeszcze z honorem uczynić może.

Ptaki w balonie. Z wysokości 11.000 stóp wypuszczono ziembę z balonu; biédna ptaszyna czując się obcą pośród obłoków, to odlatywała to znów na sznury balonu wracała, aż wreszcie nabrawszy odwagi, furknęła prostopadle ku ziemi. Gołąb' zaś siedział długo na krawędzi klatki, jakby się chciał rozpatrzéć; potém, niby skrzydeł w niezwyczajnie dlań rozcieńczoném powietrzu chcąc sprobować, podlatywał tuowdzie, a w końcu spuścił się lotem wirowym, podobnie ptakom drapieżnym, przez morze obłoków na dół.

Patent na przywrócenie piękności. Europejscy artyści toaletowi nie doprowadzili niestety w swoim zawodzie daléj jak do rozmaitych niewinnych flakoników, mydełek i pomad odmładzających. Amerykanie uczynili w tém nierównie większy postęp. I tak w spisie nowych przywilejów, ogłoszonych w kwietniu r. b. przez północno - amerykański sekretaryjat handlowy i przemysłowy, czytamy co następuje: »Johnowi Allen, patent na nową metodę przywracania policzkom pełnego czyli krągłego kształtu.« — Jednocześnie zwraca tenże John Allen w »Gazecie Nowo-Jorskiéj« uwagę publiczności na swój powyższym patentem gwarantowany wynalazek, którym za pomocą metalowego, w gębie pomiędzy dziąsłami a wnętrzem policzków przymocowaném przyrządzeniem; może bladym i zapadłym policzkom nadać rumieniec i krągłość. — Że pomiędzy różnémi klasami ludzi, którzy się téj nowéj »metodzie« poddać zechcą, wiele tancerek i tancerzy się znajdzie — mówi jedno z pism zagranicznych — chętnie wierzymy; lecz dla śpiéwaków, aktorów, jako też w ogólności wszystkich, którzy przed publicznością chętnie się nadymają, zdaje się wynalazek zacnego p. Allen zupełnie niepotrzebnym.

Niesłuszny gniew publiczności. W jednym z paryzkich teatrów bulwarowych dokazywali klakerowie (klaskacze) od niejakiego czasu zbyt bezczelnie. Otoż pewnego wieczora, gdy się im wcale miarka przebrała, rzucił się oburzony tém parter na całą zgraję, i wypchnął ją z teatru. Potém przywołano dyrektora, który po niejakiém wahaniu wyszedł. »Nie chcemy już klakerów między sobą!« wykrzyknął cały parter jednogłośnie. »Ale moi panowie! Wszakże ich nié masz!« odpowiedział dyrektor. — »Jakto, nié ma?« — »Nie, nié ma żadnego!« — »Ha, to za grubo!« — ozwał się ktoś z publiczności. »Wszakżeśmy ich dopiéro wytrącili!« — »Słusznie pan mówisz, więc ich właśnie dla tego — nié ma.« — Szumne oklaski.

*) Wszakże machina Kempelana dawniejsza.
Przyp. Red.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.